

Edith Hahn była młodą, niezależną studentką prawa, gdy Gestapo zamknęło ją wraz z matką w wiedeńskim getcie i wydało im dokumenty oznaczone literą „J”. Niedługo później Edith została wywieziona do obozu pracy. Choć udało się jej uprosić nazistowskich funkcjonariuszy, by oszczędzili jej matkę, gdy wróciła do domu, dowiedziała się, że matka została deportowana. Edith zdarta z ubrań żółte gwiazdy i zesłała do podziemia, choć wiedziała, że skazuje się na los poszukiwanej. Żywiła się tym, co udało się jej znaleźć, każdej nocy szukała bezpiecznego noclegu. Jej chłopak, Pepi, za bardzo się bał, by jej pomóc, ale pewna chrześcijańska przyjaciółka znalazła w sobie dość odwagi: podarowała Edith własne dokumenty, dzięki którym ta przedostała się do Monachium. Tam poznała członka Partii Nazistowskiej Wenera Vettera, który się w niej zakochał. Choć protestowała, choć w końcu wyznała mu, że jest Żydówką, Werner ożenił się z nią i zachował jej tożsamość w tajemnicy.

Edith niezwykle szczegółowo wspomina swoje wypełnione nieprzemijającym, paraliżującym strachem życie. Opowiada o niemieckich urzędnikach, którzy, niejako od niechcienia, wypytywali o pochodzenie jej rodziców; o tym, jak rodząc córkę, odmówiła przyjęcia środków przeciwbólowych, ponieważ bała się, że straci jasność rozumowania i ujawni swoją przeszłość; o tym, jak jej mąż dostał się do rosyjskiej niewoli i trafił na Syberię, a ona z córką, po zbombardowaniu ich domu, musiała ukrywać się w szafie, podczas gdy pijani czerwonoarmiści gwałcili kobiety na ulicach.

Na przekór zagrożeniu, jakie stwarzało to dla jej życia, Edith Hahn stworzyła niezrównany rejestr historii swojego przetrwania: ocaliła wszystkie prawdziwe i fałszywe dokumenty, listy od straconej miłości, Pepiego, a nawet zdjęcia, które udało się jej zrobić w obozach pracy.

Setki dokumentów zaprezentowane na wystawie w warszawskim Muzeum Holokaustu składają się na istic heroiczną opowieść – to skomplikowana i dająca do myślenia historia. Historia zwycięstwa.

Tytuł oryginału

The Nazi Officer's Wife:

How One Jewish Woman Survived the Holocaust

Copyright © 2015 by Pritchards Trustees Ltd,

as Trustee of the Edith Hahn Trust

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2019

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Published by arrangement with William Morrow, an imprint of
HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Korekta:

Dariusz Marszałek

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-869-6

**EDITH HAHN-BEER
PRZY WSPÓŁPRACY SUSAN DWORKIN**

ŻONA NAZISTY
JAK PEWNA ŻYDÓWKA PRZEŻYŁA ZAGŁADĘ

**TŁUMACZENIE
BARBARA GADOMSKA**

OŚWIĘCIM 2019

*Mojej Matce, Klothilde Hahn
z miłością i pamięcią*

Przedmowa

Opowiedziana tu historia pozostawała celowo ukryta przez długie lata. Ocaleni z Zagłady, w której tak wiele osób poniosło śmierć, często nie chcą wracać myślą do tamtych czasów. Także i ja nie mówiłam o tym okresie życia, gdy byłam „nurkiem” – uciekinierką przed Gestapo żyjącą z fałszywą tożsamością niejako pod powierzchnią społeczeństwa – w narodowosocjalistycznych Niemczech. Wolałam o tym w miarę możliwości zapomnieć i nie obciążać młodszego pokolenia smutnymi wspomnieniami. To moja córka Angela nalegała, bym zostawiła spisane świadectwo, opowiedziała o tym światu.

W 1997 roku postanowiłam sprzedać swoje archiwum listów, zdjęć i dokumentów z czasów wojny. Na aukcji w Sotheby’s w Londynie nabyli je moi dwaj długoletni przyjaciele i oddani filantropi zajmujący się historią, Drew Lewis i Dalck Feith, z zamiarem ofiarowania go Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, i tam archiwum się obecnie znajduje. Jestem im niezmiernie wdzięczna za hojność i troskę. Te dokumenty pomogły pobudzić wiele wspomnień. Dziękuję współpracującej ze mną Susan Dworkin, że z takim zrozumieniem i empatią pomogła mi oblec je w słowa.

Dziękuję także Ninie Sasportas z Kolonii, która przeprowadziła dokładne studia, pozwalające potwierdzić moje wspomnienia, oraz Elizabeth LeVangia Uppenbrink z Nowego Jorku, która przetłumaczyła wszystkie dokumenty i listy na zrozumiałe, idiomatyczny angielski. Słowa wdzięczności kieruję także do Nicholasa Kolarza, Roberta Levine’a, Suzanne Braun Levine, naszego redaktora Colina Dickermana i współpracującej z nim

Karen Murphy, a także naszego wydawcy Roba Weisbacha – wysoko cenionych przeze mnie krytyków i współpracowników, którzy dodawali mi ducha, użyczali energii i mądrości.

Przede wszystkim jednak książka ta powstała dzięki mojej córce Angeli Schlüter, gdyż to jej pytania, zadawane w duchu miłości, jej potrzeba, by wiedzieć, jej poszukiwanie dziwnej, niezwykłej przeszłości zainspirowały mnie, by w końcu opowiedzieć tę historię.

Edith Hahn Beer
Netanja, Izrael

Rozdział 1

Cichy głosik z tamtych czasów

W pewnym momencie zabrakło cebuli. Pielęgniarki Czerwonego Krzyża, z którymi pracowałam w Szpitalu Państwowym w Brandenburgu, mówiły, że Führer potrzebuje cebuli do produkcji gazu trującego, żeby zwyciężyć naszych wrogów. Sądzę jednak, że w tamtym czasie – był maj 1943 roku – wielu obywateli Trzeciej Rzeszy chętnie wyrzekłoby się przyjemności zagazowania wrogów, gdyby w zamian mogło zjeść cebulę.

Pracowałam wówczas na oddziale dla cudzoziemskich robotników i jeńców wojennych. Przygotowywałam herbatę dla wszystkich pacjentów i rozwożąc ją wózekciem, starałam się uśmiechać i pogodnie mówić *Guten Tag*.

Pewnego dnia wjechałam do kuchni z brudnymi filiżankami i natknęłam się tam na jedną z pielęgniarek. Była żoną oficera i pochodziła z Hamburga; na imię miała chyba Hilde. Stała i kroїła cebulę. Powiedziała mi, że przyniosła ją sobie na obiad. Spojrzała na mnie badawczo, sprawdzając, czy wiem, że kłamie.

Popatrzyłam na nią bez wyrazu i uśmiechnęłam się głupawo, a potem zabrałam się za mycie filiżanek, jakbym nie miała pojęcia, że kupiła cebulę na czarnym rynku, by nakarmić nią śmiertelnie ранnego rosyjskiego jeńca – pozwolić mu w ostatnich dniach życia skosztować czegoś, za czym tęsknił. Obie te rzeczy – kupno cebuli i życzliwość dla Rosjanina – mogły dla Hilde oznaczać wyrok więzienia.

Pielęgniarka z Hamburga należała do rzadkich wyjątków, do tych nielicznych Niemców, którzy naruszali hitlerowskie pra-

wa. Personel naszego szpitala najczęściej bowiem kradł jedzenie przeznaczone dla cudzoziemskich pacjentów i zabierał do domu dla rodzin i siebie. Trzeba pamiętać, że pielęgniarki w większości nie były wykształconymi kobietami z postępowych domów, dla których pielęgnacja chorych stanowiłaby święte powołanie. Bardzo często pochodziły ze wsi w Prusach Wschodnich, gdzie los skazywał je na trwającą całe życie harówkę na polach i w gospodarstwach; pielęgniarstwo stanowiło dla nich jedną z nielicznych szans ucieczki od takiego przeznaczenia. Dorastały w epoce hitleryzmu, karmione narodowosocjalistyczną propagandą, i naprawdę wierzyły, że jako nordyckie „Aryjki” należą do rasy wyższej. Uważały, że ci Rosjanie, Francuzi, Holendrzy, Belgowie i Polacy, którzy trafili do naszego szpitala, znaleźli się na świecie po to, żeby im służyć. Kradzież talerza zupy takim podlejszym stworzeniom nie była więc grzechem, tylko całkowicie usprawiedliwionym postępkiem.

Wydaje mi się, że w Brandenburgu musiało być ponad dziesięć tysięcy cudzoziemskich jeńców. Pracowali w fabryce samochodów Opla, zakładach lotniczych Arado i w innych obiektach przemysłowych. Większość tych, których widywałyśmy w szpitalu, uległa wypadkom przy pracy. Budowali potęgę gospodarczą Trzeciej Rzeszy, a prasy do metalu zgniatały im dłonie, płomienie z pieców kuźniczych powodowały poważne oparzenia, pryskały na nich żrące substancje chemiczne. Należeli do narodu niewolników, podbitego i bezbronniego; zabrani od rodziców, żon i dzieci, tęsknili za domem. Nie śmiałam patrzeć im w oczy ze strachu, że zobaczę w nich samą siebie – własne przerażenie i własną samotność.

W naszym szpitalu każdy pawilon pełnił inną funkcję. Stołówka dla personelu pielęgniarskiego znajdowała się w jednym budynku, pralnia w innym, urazy ortopedyczne opatrywało się w jeszcze kolejnym, a chorzy zakaźnie przebywali w osobnym. Jeńców rygorystycznie oddzielano od pacjentów niemieckich, niezależnie od tego, na co chorowali. Słyszeliśmy, że pewnego razu

cały budynek przeznaczono dla obcokrajowców chorych na tyfus, który bierze się z zanieczyszczonej wody. Jak mogli się zarazić tą chorobą w naszym pięknym, zabytkowym mieście, które stało się inspiracją dla nieśmiertelnych koncertów, gdzie woda jest czysta, a żywność starannie racjonowana i kontrolowana przez rząd? Tego my, proste dziewczyny, nie potrafiłyśmy pojąć. Wiele moich współpracownic uważało, że cudzoziemcy sami są sobie winni, ponieważ życie w brudzie jest dla nich naturalne. Nie dopuszczały do siebie myśli, że choroba wzięła się z koszmarnych warunków, w jakich ci robotnicy byli zmuszeni żyć.

Pamiętajcie, że tak naprawdę nie byłam pielęgniarką, ale sallową, przyuczoną jedynie do prostych zadań. Karmiłam pacjentów, którzy sami nie byli w stanie tego robić, i odkurzałam nocne stoliki. Szorowałam baseny. Pierwszego dnia w pracy wyszorowałam dwadzieścia siedem basenów – w zlewie, jakby to były naczynia. Myłam gumowe rękawiczki. Nie wyrzucało się ich po jednorazowym użyciu, jak te dzisiejsze cienkie białe. Nasze były ciężkie, trwałe, do wielokrotnego użytku. Musiałam je talkować w środku. Czasami przygotowywałam czarny balsam, nakładałam na bandaże i robiłam kompresy, by łagodziły nieco bóle reumatyczne. I to tyle. Nie wolno mi było wykonywać żadnych zadań o bardziej medycznym charakterze.

Raz polecono mi, żebym pomogła w transfuzji krwi. Krew jednego pacjenta spływała do miski, a stamtąd zasysano ją do żył innego chorego. Moim zadaniem było mieszanie krwi, by nie krzepła. Zrobiło mi się niedobrze i wybiegłam z sali. Powiedzieli sobie: „Cóż, Grete jest po prostu głupią wiedeńską dziewczyną właściwie bez wykształcenia, niewiele lepszą od sprzątaczkki – czego można od niej oczekiwać? Niech karmi cudzoziemców, którzy odcięli sobie palce w maszynach”.

Modliłam się, żeby na moim dyżurze nikt nie umarł. Niebiosa musiały mnie wysłuchać, bo jeńcy czekali, żeby mój dyżur się skończył, i umierali dopiero po nim.

Starałam się być dla nich miła; próbowałam mówić do Francuzów po francusku, żeby złagodzić nieco ich tęsknotę za domem. Zapewne uśmiechałam się zbyt promiennie, dlatego też pewnego sierpniowego poranka przełożona pielęgniarek wytknęła mi, że odnoszę się do cudzoziemców z nadmierną życzliwością, więc przenoszą mnie na położnictwo.

Widzicie, wszędzie byli donosiciele. Dlatego właśnie pielęgniarka, która przygotowywała zakazaną cebulę swemu rosyjskiemu pacjentowi, tak się przestraszyła na widok mnie, Margarethe, nazywanej krótko „Grete”, niewykształconej dwudziestoletniej salowej z Austrii. Nawet ja mogłam przecież pracować dla Gestapo albo SS.

W początkach jesieni 1943 roku, wkrótce po moim przeniesieniu na oddział położniczy, karetka przywiozła aż z Berlina ważnego przemysłowca. Niedawno przeszedł udar, potrzebował ciszy, spokoju i stałej opieki medycznej. Alianci od stycznia prowadzili naloty na Berlin, rodzina i przyjaciele uznali więc, że chory szybciej dojdzie do siebie w Brandenburgu, na który nie spadały bomby, a ponieważ personel szpitalny nie musiał zajmować się rannymi, pacjent mógł liczyć na bardziej osobistą opiekę. Zabrano mnie od noworodków i przydzielono do jego obsługi, być może dlatego, że byłam najmłodsza i najmniej wykształcona.

Nie była to przyjemna praca. Chory został częściowo sparaliżowany; trzeba mu było podawać jedzenie pokrojone na małe kawałeczki, prowadzić go do łazienki, kąpać i regularnie przewracać z boku na bok. Poza tym jego miękkie, bezwładne ciało wymagało masowania.

Nie opowiadałam zbyt wiele o nowym pacjencie Wernerowi, mojemu narzeczonemu, bo obawiałam się, że może to w nim obudzić nadmierne ambicje i będzie nalegał, żeby skorzystać z bliskiego kontaktu z tak ważną osobistością. Werner zawsze wypatrywał korzyści. Doświadczenie go nauczyło, że w Trzeciej

Rzeszy awansuje się nie dzięki talentowi i umiejętnościom, tylko dzięki koneksjom: przyjaciołom na wysokich stanowiskach, wpływowym krewnym. Werner był malarzem, obdarzonym wyobraźnią i talentem. Mimo tego przed dojściem do władzy Hitlera i narodowych socjalistów pozostawał bezrobotny i bezdomny; zdarzało mu się nawet sypiać w lesie, pod gołym niebem. Potem nadeszły dla niego lepsze czasy. Wstąpił do NSDAP i został kierownikiem malarni w zakładach lotniczych Arado. Nadzorował pracę wielu cudzoziemskich robotników. Wkrótce miał zostać oficerem Wehrmachtu i moim oddanym mężem. Nie spoczął jednak na laurach. Był typem człowieka, który zawsze wypatrywał czegoś ekstra, jakiegoś zaczepienia, sposobu, by wspiąć się wyżej, zdobyć pozycję, gdzie w końcu spotka go zasłużona – jego zdaniem – nagroda. Był człowiekiem niespokojnym i impulsywnym, marzącym o sukcesie. Gdybym opowiedziała mu wszystko o swoim ważnym pacjencie, być może jego marzenia sięgnęłyby zbyt daleko. Powiedziałam więc tylko tyle, ile trzeba – nie więcej.

Gdy mój pacjent otrzymał kwiaty od samego Alberta Speera, ministra Rzeszy odpowiedzialnego za uzbrojenie i amunicję, rozumiałam, dlaczego pozostałe pielęgniarki tak chętnie przydzieliły mi tę pracę. Opieka nad wysoko postawionymi członkami partii była ryzykowna. Upuszczony basen czy przewrócona szklanka z wodą mogły spowodować poważne kłopoty. A co, jeśli go zbyt szybko przewrócę na drugi bok, zbyt mocno będę tarła przy myciu, nakarmię zupą, która okaże się za gorąca, za zimna, zbyt słona? A jeśli, nie daj Boże, dostanie kolejnego udaru albo umrze podczas mojego dyżuru?

Drżąc na samą myśl o tak wielu zagrożeniach, w obawie, że zrobię coś niewłaściwego, starałam się wykonywać wszystkie czynności jak najlepiej. Przemysłowiec uznał oczywiście, że jestem wspaniała.

– Jest siostra świetną pracownicą – pochwalił mnie, gdy go myłam. – Musi siostra chyba mieć już duże doświadczenie jak na kogoś tak młodego.

– Och nie, proszę pana – powiedziałam cichym głosem. – Dopiero co skończyłam szkołę. Robię tylko to, czego mnie nauczono.

– I nigdy przedtem nie zajmowała się siostra chorym po udarze?

– Nie, proszę pana.

– To zdumiewające.

Z dnia na dzień zaczynał się poruszać nieco sprawniej i wyraźniej mówić. Stopniowy powrót sił dodawał mu otuchy, poprawił więc mu się też humor.

– Niech mi siostra powie – spytał, gdy masowałam mu stopy – co ludzie tu, w Brandenburgu, myślą o wojnie?

– Och, naprawdę nie wiem, proszę pana.

– Ależ na pewno słyszy siostra różne rzeczy... Interesuje mnie opinia publiczna. Co ludzie sądzą o przydziale mięsa?

– Jest wystarczający.

– A o wieściach z Włoch?

Czy powinnam się zdradzić z wiedzą o lądowaniu aliantów? Czy się odważę? Ale czy odważę się nie przyznać?

– Wszyscy uważamy, że Brytyjczycy zostaną pokonani, proszę pana.

– A czy zna siostra kogoś, kto ma narzeczonego na froncie wschodnim? Co żołnierze piszą w listach do domu?

– Och, żołnierze nie piszą o walkach, proszę pana, bo nie chcą, żebyśmy się martwiły. A poza tym obawiają się, żeby nie zdradzić jakiegoś ważnego szczegółu, bo gdyby wróg przechwycił pocztę i ją przeczytał, to ich towarzysze mogliby się znaleźć w niebezpieczeństwie.

– A słyszała siostra, że Rosjanie to kanibale? Czy słyszała siostra, że zjadają swoje dzieci?

– Tak, proszę pana.

– I wierzy w to siostra?

Zebrałam się na odwagę.

– Niektórzy w to wierzą, proszę pana. Ale mnie się wydaje, że gdyby Rosjanie zjadali swoje dzieci, to nie byłoby ich tylu, ilu najwyraźniej jest.

Roześmiał się. Miał życzliwe, pełne humoru spojrzenie i miły sposób bycia. Przypominał mi nawet nieco mego dziadka, którym opiekowałam się lata temu, gdy doznał udaru... tak dawno, w innym życiu. Zaczęłam się nieco swobodniej czuć przy tym ważnym przemysłowcu i mniej się pilnować.

– Co mógłby zrobić Führer, żeby naród był szczęśliwy, siostrze? Jak siostra myśli?

– Mój narzeczony mówi, że Führer kocha Niemcy jak żonę, dlatego sam nie ma żony, i że dla naszego szczęścia zrobiłby wszystko. Więc gdyby pan z nim rozmawiał, to może powiedziałby pan Führerowi, że bylibyśmy bardzo, bardzo szczęśliwi, gdyby przysłał nam trochę cebuli.

To go rozbawiło.

– Jest siostra dla mnie dobrym lekarstwem. Szczera i życzliwa, uosobienie niemieckiej kobiecości. Proszę mi powiedzieć, czy siostry narzeczony walczy na froncie?

– Jeszcze nie, proszę pana. Ma specjalne umiejętności, więc pracuje przy przygotowywaniu samolotów dla Luftwaffe.

– Ach, to bardzo dobrze, bardzo dobrze – powiedział. – Moi synowie także są wspaniałymi młodymi ludźmi. Bardzo dobrze sobie radzą. – Pokazał mi zdjęcie wysokich, przystojnych chłopaków w mundurach. Awansowali w NSDAP i zajmowali teraz ważne stanowiska. Mój pacjent był z nich bardzo dumny.

– Łatwo jest zostać kardynałem – skomentowałam – gdy ma się kuzyna papieża.

Przestał się przechwalać i przyjrzał mi się uważnie.

– Widzę, że wcale nie jest pani taką prostą dziewczyną – zauważył. – Widzę, że jest pani bardzo bystrą młodą kobietą. Gdzie pobierała pani nauki?

Ścisnęło mnie w żołądku. Zaschło mi w gardle.

– Moja babcia tak zawsze mówiła – odparłam, obracając go, by mu umyć plecy. – Takie rodzinne powiedzonko.

– Gdy już będę wracał do Berlina, chciałbym zabrać panią w charakterze prywatnej pielęgniarki. Porozmawiam z pani przełożonymi.

– Och... Bardzo bym chciała, ale mój narzeczony i ja już niedługo zamierzamy się pobrać, więc nie mogę wyjechać z Brandenburga, to niemożliwe. Ale dziękuję panu! Dziękuję! To dla mnie zaszczyt! Wielki zaszczyt!

Mój dyżur dobiegł końca. Życzyłam pacjentowi dobrej nocy i na miękkich nogach wyszłam z pokoju. Byłam mokra od potu. Koleżance, która przyszła mnie zastąpić, powiedziałam, że to ze zmęczenia przy ćwiczeniu ciężkich kończyn pacjenta. Prawdziwą przyczyną był jednak fakt, iż omal się nie zdradziłam. Najmniejszy przejaw wyrafinowania czy wykształcenia – nawiązanie do literatury lub historii, wykraczające poza zakres dostępny dla zwykłej austriackiej dziewczyny – groził mi ujawnieniem, tak jak obrzezanie mężczyznom.

Idąc do domu, do osiedla Arado na wschodnich obrzeżach miasta, gdzie mieszkałam z Wernerem, milionowy już chyba raz rugałam się w duchu za nieostrożność. Powinnam ukrywać wszelkie przejawy rozumu, patrzeć tępo i trzymać buzię na kłódkę.

W październiku 1943 roku spotkał mnie wielki zaszczyt. Miasto Brandenburg planowało wiec, na który każda grupa pracowników miała wysłać przedstawiciela. Z takiego czy innego powodu nie mogła wziąć w nim udziału żadna ze starszych pielęgniarek; podejrzewam, że nie miały ochoty świętować, bo słyszały,

jak kiepsko radzą sobie niemieckie wojska w Rosji, Afryce Północnej i Włoszech (choć nie potrafię sobie wyobrazić, skąd miałyby to wiedzieć, skoro niemieckie radio nie podawało pełnych informacji, a wszyscy wiedzieli, że słuchanie Radia Moskwa, BBC, Głosu Ameryki czy szwajcarskiego Beromünster stanowiło przestępstwo graniczące ze zdradą). W każdym razie pozostałe pielęgniarki Czerwonego Krzyża wybrały mnie na przedstawicielkę naszej grupy pracowniczej do udziału w wiecu. Werner był ze mnie bardzo dumny. Potrafię sobie wyobrazić, jak się przechwalał przed kolegami w Arado: „Nic dziwnego, że wybrali moją Grete! Jest prawdziwą patriotką, oddaną ojczyźnie!”. Ten mój Werner miał poczucie humoru i znakomicie wyłapywał przejawy ironii losu.

Na ten wielki dzień ubrałam się starannie. Założyłam uniform pielęgniarki Czerwonego Krzyża. Brązowe włosy uczesałam prosto i naturalnie, bez spinek, loków czy brylantyny. Nie nosiłam makijażu ani żadnej biżuterii poza cienką złotą obrączką z maleńkim diamencikiem – prezentem od ojca na szesnaste urodziny. Byłam dość drobna – niewiele ponad 152 centymetry – a w tamtych czasach cieszyłam się znakomitą figurą. Ukrywałam ją jednak, wkładając rozciągnięte białe pończochy i bezkształtny kitel. Ktoś taki jak ja wówczas wolał nie wyglądać szczególnie atrakcyjnie. Miło – tak. Czysto – tak. Ale przede wszystkim zwyczajnie. Tak, by nie zwracać na siebie uwagi.

Wiec, jak się okazało, był odmienny od tych, do których już przywykliśmy. Żadnych werbli ani głośnych marszów, żadnych pięknych młodych ludzi w mundurach, machających flagami. Zwołano go po to, by pokonać defetystyczny nastrój, który ogarnął Niemcy minionej zimy po klęsce pod Stalingradem. W sierpniu ministrem spraw wewnętrznych mianowano Heinricha Himmlera, stawiając mu główne zadanie: „Odnowić wiarę Niemców w Zwycięstwo!”. Jeden mówca po drugim wzywał, byśmy ciężiej pracowali i wspierali naszych dzielnych walczących żołnierzy,

ponieważ jeśli przegramy wojnę, powróci straszna bieda – jaką większość Niemców pamiętała sprzed nadejścia epoki narodo-
wego socjalizmu – a my wszyscy stracimy pracę. Jeśli nie mo-
żemy już patrzeć na wieczorny *Eintopf*, jednodaniowy posiłek,
który według Josefa Goebbelsa był właściwy dla ponoszącego
ofiary narodu toczącego „wojnę totalną”, powinniśmy pamiętać,
że po Zwycięstwie będziemy jak królowie delektować się praw-
dziwą kawą i chrupiącym chlebem upieczonym z białej mąki
i całych jajek. Powiedziano nam, że powinniśmy robić, co w na-
szej mocy, by wydajność pracy nie malała, a także donosić na
każdego, kogo podejrzewamy o niełojalność – zwłaszcza osoby
słuchające wrogich rozgłośni radiowych, podających „znacznie
przesadzone” informacje o niemieckich klęskach w Afryce Pół-
nocnej i we Włoszech.

„Mój Boże – pomyślałam – zaczynają się niepokoić”.

Najwyraźniej „panów świata” z wolna ogarniał strach i nie-
pewność. Zakręciło mi się w głowie, zabrakło mi oddechu.
W myślach zaczęła mi rozbrzmiewać dawna piosenka.

„Ciii – napomniałam się. – Za wcześnie, żeby śpiewać. Ciiii”.

Tego wieczoru, gdy Werner i ja nastawiliśmy radio na kanał
BBC, modliłam się, by wiadomości o militarnych niepowodze-
niach Niemiec oznaczały, że wojna się wkrótce skończy, a ja na-
reszcie nie będę musiała udawać kogoś innego.

Nie odważyłam się jednak podzielić tą nadzieją nawet z Wer-
nerem. Ukrywałam euforię, mówiłam cicho, starałam się nie
zwracać na siebie uwagi. Niewidzialność. Milczenie. Takie wła-
śnie zwyczaję sobie narzuciłam, gdy żyłam jako „nurek” – ci,
którzy przeżyli Zagładę, nadali tę nazwę żydowskim uciekinie-
rom z nazistowskiej maszyny śmierci ukrywającym się w sercu
Trzeciej Rzeszy.

W późniejszych latach, gdy byłam żoną Freda Beera i miesz-
kałam bezpiecznie w Anglii, wyzbyłam się tych wojennych
zwyczajów. Teraz jednak, gdy Freda już nie ma, a ja jestem stara

i nie potrafię się obronić przed wspomnieniami, znów do mnie wracają. Siedzę tu, tak jak teraz z wami, w ulubionej kawiarni na placu w mieście Netanja, nad morzem, w ziemi Izraela. Gdy ktoś się zatrzymuje, by pogadać i mówić: „*Giveret Beer*, proszę opowiedzieć, jak to było podczas wojny, gdy żyła pani z członkiem NSDAP w Niemczech, udając Aryjkę, ukrywając prawdziwą tożsamość, w ciągłym strachu przed ujawnieniem?“, odpowiadam cichym głosem, oszołomiona własną niewiedzą: „Och, nie wiem. Chyba już tego nie pamiętam“. Mój wzrok traci ostrość, mój głos staje się rozmarzony, niepewny, cichy. To mój głos z tamtych lat spędzonych w Brandenburgu, gdy byłam dwudziestodwuletnią żydowską studentką prawa widniejącą w rejestrze poszukiwanych przez Gestapo, która udawała, że jest niewykształconą dwudziestoletnią salową.

Musicie mi wybaczyć, jeśli ów głos z tamtych czasów jest zbyt cichy, zamierający i niepewny. Powinniście mi przypominać: „Edith! Mów głośniej! Opowiedz swoją historię“.

Minęło już ponad pół wieku.

Chyba nadeszła pora.

Rozdział 2

Hahnowie z Wiednia

Gdy byłam wiedeńską uczennicą, wydawało mi się, że cały świat przyjechał do mojego miasta, by siedzieć w słonecznych kawiarniach, delektować się kawą, ciastem i niezrównaną konwersacją. Ze szkoły wracałam koło gmachu opery, przez piękny Josefsplatz i Michaelerplatz. Bawiłam się w Volksgarten i Burggarten. Widywałam dostojne damy w kapeluszach i jedwabnych pończochach; panów z laseczkami i złotymi łańcuszkami do zegarków; robotników pochodzących ze wsi ze wszystkich prowincji dawnego imperium austro-węgierskiego, którzy grubymi, zręcznymi dłońmi tynkowali i malowali wymyślne fasady. Sklepy pełne były kryształów, jedwabi i egzotycznych owoców. Wciąż pojawiały się nowe wynalazki.

Pewnego dnia precyzyjnie przeszłam przez tłum i wynurzyłam przed witryną sklepową, w której pokojówka w odpowiednim uniformie demonstrowała coś, co nazywano „odkurzaczem”. Rozsypywała na podłodze śmieci, włączała maszynę, a śmieci znikwały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pisnęłam z zachwytu i pobiegłam opowiedzieć o tym koleżankom.

Gdy miałam dziesięć lat, stanęłam w długiej kolejce przed redakcją magazynu „Die Bühne” – „Scena”. Po chwili posadzono mnie przy stole przed dużym brązowym pudłem. Miła pani założyła mi na uszy słuchawki. Pudło ożyło. Głos. Piosenka. Radio.

Pobiegłam do restauracji ojca, by opowiedzieć o tym rodzinie. Mojej siostry Mimi, zaledwie rok ode mnie młodszej, nic to nie obchodziło. Małeństwo – Johanna, zwana Hansi – jeszcze nie

potrafiła zrozumieć. Mama i Papa byli zbyt zajęci, żeby mnie wysłuchać. Wiedziałam jednak, że usłyszałam coś szczególnego, siłę przyszłości, przyszłego boga. Pamiętajcie, że w 1924 roku radio było nowością. Wyobraźcie sobie, jaką siłę sobą reprezentowało i jak bezbronni wobec niej byli ludzie – nie umieli się oprzeć przekazywanym przez nie wiadomościom.

– Osoba, która mówi, może znajdować się bardzo daleko stąd, panie profesorze! – powiedziałam podniecona do profesora Spitzera z politechniki, którego najbardziej lubiłam spośród stałych gości. – Ale jej głos leci przez powietrze jak ptak! Wkrótce będziemy mogli słyszeć głosy ludzi ze wszystkich stron świata!

Pochłaniałam gazety i czasopisma, które Papa trzymał dla klientów. Najbardziej interesowały mnie strony poświęcone prawu, przedstawiające procesy, spory sądowe i problemy, od których kręciło się w głowie. Biegałam po naszym „mieście walca” i każdemu, kto chciał czy nie chciał mnie słuchać, opowiadałam, co przeczytałam i zobaczyłam.

Uwielbiałam szkołę. Chodziłam do żeńskiej klasy, bo Papa nie popierał koedukacji. W odróżnieniu od swoich sióstr kochałam się uczyć i nie sprawiało mi to żadnych trudności.

Wpajano nam, że naszymi głównymi wrogami są Francuzi, że Włosi to zdrajcy, że Austria przegrała wojnę jedynie na skutek „noża wbitego w plecy” – muszę jednak przyznać, że nigdy nie byliśmy całkiem pewni, kto go wbił. Nauczyciele często mnie pytali, po jakiemu rozmawiamy w domu. Był to niezbyt subtelny sposób dowiedzenia się, czy mówimy w jidysz (czego nie robiliśmy), a zatem czy jesteśmy Żydami (którymi byliśmy).

Chcieli wiedzieć. Rozumiecie, obawiali się, że dzięki naszym typowo austriackim twarzom moglibyśmy się przemknąć. Nie chcieli dać się oszukać. Nawet wówczas, w latach dwudziestych, pragnęli mieć pewność, kto jest Żydem.

Pewnego dnia profesor Spitzer spytał Papę, co planuje w sprawie mojej dalszej edukacji. Ojciec powiedział, że skończę szkołę

powszechną, a potem pójdę na praktykę do krawcowej, tak samo jak niegdyś moja matka.

– Ale ma pan tu bardzo bystrą dziewczynę, drogi Herr Hahn – zauważył profesor. – Mógłby pan ją posłać do liceum, może nawet na uniwersytet.

Ojciec się zaśmiał. Gdybym była chłopcem, zrobiłby wszystko, żeby mnie kształcić. Ponieważ byłam dziewczyną, nawet nie przyszło mu to do głowy. Jednak tę sugestię wysunął szanowany profesor, Papa postanowił więc przedyskutować sprawę z moją matką.

Mój ojciec, Leopold Hahn, miał piękne czarne wąsy, kręcone czarne włosy, poczucie humoru i otwarty sposób bycia, odpowiedni dla restauratora. Był najmłodszy z sześciu braci, zanim więc doszedł do wieku, w którym mógłby się kształcić, rodzinne pieniądze się skończyły. Dlatego uczył się na kelnera. Wiem, że trudno w to teraz uwierzyć, ale w tamtych czasach i w tamtym miejscu nauka kelnerskiego fachu trwała kilka lat. Ludzie lubili Papę. Ufali mu, opowiadali mu o sobie. Był znakomitym słuchaczem. Miał taki dar.

Był człowiekiem światowym i wyrafinowanym, ale od nas tego nie oczekiwał. Pracował na Riwierze i w czeskosłowackich kurortach Karlowe Wary i Mariańskie Łaźnie, gdzie zdarzało mu się także nieźle szaleć. Podczas pierwszej wojny walczył w szeregach armii austro-węgierskiej. Został ranny, potem wzięto go do niewoli, ale uciekł i do nas wrócił. Na skutek rany w ramieniu nie mógł ruszać ręką. Nie potrafił sam się ogolić.

Restauracja przy Kohlmarkt w ruchliwym centrum Wiednia była dla ojca całym życiem. Znajdował się w niej długi lśniący kontuar, a z tyłu sala jadalna. Niektórzy klienci przychodzili tu całymi latami. Papa wiedział, co chcą zjeść, zanim jeszcze złożyli zamówienie. Trzymał ich ulubione gazety. Zapewniał im usługi i wygodę, tworzył mały światek, na którym mogli polegać.

Mieszkaliśmy w mieszkaniu z dwoma sypialniami w przebudowanym dawnym pałacu przy Argentinierstrasse 29 w Czwartej Dzielnicy Wiednia. Właściciel domu był skoligacony z rodziną cesarską. Mama pracowała razem z Papą w restauracji siedem dni w tygodniu, więc my, dziewczynki, jadałyśmy tam posiłki. Służące sprzątały mieszkanie i zajmowały się nami, gdy byliśmy małe.

Moja mama, Klothilde, była ładna, niewysoka, atrakcyjna, o zaokrąglonych kształtach, ale nie była kokietką. Miała długie włosy i dbała, żeby zawsze były czarne. Na jej twarzy malowała się cierpliwość i pewne zakłopotanie; wybaczala ludziom ich słabostki, często wzdychała i wiedziała, kiedy się ugryźć w język.

Najbardziej kochałam Hansi, moją małą, siedem lat ode mnie młodszą siostrzyczkę. Uważałam, że wygląda jak cherubinek z barokowej katedry – o różowych policzkach, miękkim ciałku i z fruującymi loczkami. Nie lubiłam natomiast siostry Mimi – z wzajemnością. Miała słaby wzrok, więc nosiła grube szkła. Miała też paskudny charakter – była złośliwa i o wszystko zazdrośna. Mamę męczyło to, że Mimi jest nieszczęśliwa, spełniała więc wszystkie jej zachcianki, zakładając, że ja, „swobodny duch”, dam sobie radę. Ponieważ Mimi nie miała przyjaciół, a ja cieszyłam się popularnością tak jak ojciec, musiałam się z nią dzielić przyjaciółmi i wszędzie ją ze sobą zabierać.

Papa troszczył się o nas wszystkie i chronił przed znajomością mroczniejszej strony świata. Podejmował za nas decyzje, oszczędzał na nasze posagi. W dobrych okresach, gdy czuł przyływ pieniędzy, w drodze do domu zatrzymywał się czasami w domu aukcyjnym i kupował mojej mamie jakąś biżuterię jako niespodziankę – złoty łańcuszek, bursztynowe kolczyki. Opierał się o jeden z naszych skórzanych foteli i czekał, aż Mama otworzy paczuszkę; cieszył się z jej podniecenia, oczekiwał jej uścisku. Uwielbiał Mamę. Nigdy się nie kłócili. Naprawdę, absolutnie nigdy się nie kłócili. Wieczorami ona szyła, on czytał gazetę,

a my odrabialiśmy lekcje. W domu panował spokój – to, co Żydzi nazywają *szalom bajt*.

Sądzę, że ojciec wiedział, jak być Żydem, ale nas tego nie nauczył. Chyba myślał, że wyssiemy to z mlekiem matki.

W sobotnie popołudnia posyłano nas na *Judengottesdienst*, dziecięce nabożeństwo w synagodze. Miała nas tam prowadzić służąca. Była jednak katoliczką, jak większość Austriaków, i obawiała się synagogi; moja mama natomiast – kobieta pracująca, zależna od pomocy służby – obawiała się służącej. Chodziłyśmy więc tam niezbyt często i niemal niczego się nie nauczyłyśmy. Jedna tylko piosenka z tamtego okresu utkwiła mi w pamięci:

*Świątynia zostanie odbudowana
A Żydzi powrócą do Jeruzalem.
Tak napisano w świętej księdze.
Tak napisano. Alleluja!*

Poza podstawowym wyznaniem wiary – *Szema Jisrael, Adonaj Elohenu, Adonaj ehad* – z żydowskich modlitw i praktyki znałam jedynie tę dziecięcą piosenkę o Świątyni.

Szkoda, że nie wiedziałam nic więcej.

Dzięki Bogu, że wiedziałam choć tyle.

Restauracja ojca była zamknięta w Rosz Haszanę i Jom Kipur (podobnie jak w domu, nie podawano tam wieprzowiny ani owoców morza, poza tym jednak nie przestrzegano zasad koszeru). W te wielkie święta chodziliśmy do synagogi, głównie po to, żeby spotkać się z krewnymi. Mama i Papa byli dalekimi kuzynami; oboje pochodzili z rodziny nazwiskiem Hahn. Dwie siostry i jeden brat Mamy oraz sześciu braci i trzy siostry Papy składało się w sumie na klan liczący ponad trzydzieścioro Hahnów mieszkających w Wiedniu. Wstępując do kawiarni na Praterze, można było mieć pewność, że najpóźniej w trzecim lokalu

znajdzie się jakiegoś Hahna. Każda część rodziny inaczej przestrzegała żydowskiej religii. Na przykład ciocia Gisela Kirschenbaum – jedna z siostr Papy, także prowadząca restaurację – na święto Paschy otwierała swój lokal i zapraszała ubogich na darmowy seder¹. Brat Mamy Richard, zdeklarowany niewierzący, ożenił się z elegancką dziedziczką fabryki mebli w Topolčanach koło Bratysławy. Na imię miała Roszi. Wychowała się w rodzinie ortodoksyjnej i nie mogła znieść asymilacji Hahnów, więc na święta zawsze jechała do domu do Czechosłowacji.

Czasami rodzice zaskakiwali mnie wybuchem żydowskiej świadomości. Na przykład w domu przyjaciółki zjadłam kiedyś kaszanke. „Absolutnie przepyszne” – oznajmiłam Mamie. Aż się zakrztusiła. Jej autentyczne przerażenie mnie zdumiało. Przy innej okazji spytałam ojca – tak tylko, żeby podtrzymać rozmowę – czy mogłabym wyjść za mąż za chrześcijanina.

– Nie, Edith. Tego bym nie zniósł. To by mnie zabiło. Odpowiedź brzmi: nie – powiedział, patrząc groźnie.

Papa uważał, że Żydzi muszą być lepsi od wszystkich. Oczekiwał, że nasze świadectwa będą wzorowe, a nasza świadomość społeczna bardziej rozwinięta. Że będziemy się zachowywać bardziej elegancko, nosić czystsze ubrania i kierować się wyższymi standardami moralnymi niż inni.

Nie myślałam wówczas o tym, ale oczywiście zdaję sobie teraz sprawę, że mocne przekonanie ojca, że my, Żydzi, musimy być lepsi, wynikało z mocnego przekonania naszego kraju, że nie jesteśmy równie dobrzy.

Rodzice mojej mamy mieli szarą, zdobioną stiukami willę w Stockerau, ładnym miasteczku na północ od Wiednia. Jeździliśmy tam w weekendy, na wakacje i urodziny. Mieszkała tam najbliższa mi kuzynka Jultschi.

¹ Seder – uroczysty posiłek na rozpoczęcie święta Paschy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Kiedy Jultschi miała dziewięć lat, matka (siostra Mamy, Elvira) podrzuciła ją do domu dziadków, a sama wróciła do siebie i popełniła samobójstwo.

Ojciec Jultschi mieszkał dalej w Wiedniu, ona jednak – dręczona złymi wspomnieniami, pragnąca być potrzebną, zalękniona – pozostała u dziadków, którzy wychowali ją jak własne dziecko. Jultschi, łagodna duża brunetka o brązowych oczach i pełnych, ładnie wyrzeźbionych wargach, miała wielkie serce i – w przeciwieństwie do mojej siostry Mimi – poczucie humoru. Grała na pianinie, marnie, ale wystarczająco dla naszego pozbawionego słuchu klanu, tworzyliśmy więc opery do jej życzliwego walenia w klawisze. Podczas gdy ja, „intelektualistka”, odkrywałam w sobie namiętność do gotyckich powieści pełnych tajemnic i żądz, Jultschi uzależniała się od kina i swingu.

Babcia Hahn – niska, tęga, silna kobieta potrafiąca narzucić surową dyscyplinę – przydzielała nam zadania, a potem szła na targ. Oczywiście nie robiłyśmy tego, co nam kazała, tylko bawiłyśmy się całymi popołudniami. Na widok wracającej babci wpadałyśmy do domu przez otwarte okna i zabierałyśmy się do pracy, by zobaczyła, że zamiatamy i wycieramy kurze jak grzeczne dzieci. Jestem pewna, że ani razu nie dała się nabrać.

Babcia pracowicie przyczyniała się do bogactwa świata, szydełkując filigranowe koronkowe serwetki albo ucząc Jultschi, jak piec *Stollen*², albo zajmując się swymi kurami i gęsiami, psem (o imieniu Mohrli) i setkami kwiatów w doniczkach. Hodowała chyba wszystkie rodzaje kaktusów. Informowała Mamę: „Klothilde! Kaktus zakwitnie w niedzielę. Przywieź dzieci, żeby zobaczyły”. Przyjeżdżaliśmy więc do Stockerau, by stojąc na podwórzu, podziwiać odporną pustynną roślinkę, która walczy o przetrwanie w naszym chłodnym klimacie.

Dziadek Hahn miał sklep, w którym sprzedawał maszyny do szycia i rowery. Był także agentem sprzedaży motocykli Puch.

² *Stollen* – rodzaj strucli z rodzynkami i migdałowym nadzieniem.

Babcia pracowała z nim w sklepie w niedzielę, wielki dzień zakupów dla lokalnych rolników, którzy w drodze z kościoła spotykali się w barze, coś wypijali, a potem robili zakupy na cały tydzień. Wszyscy znali dziadków. Podczas karnawału władze Stockerau zawsze zapraszały ich do stołu prezydialnego, skąd przyglądali się, jak kolejne gildie wystawiają swoje programy.

Na urodziny dziadka musiałyśmy przepisać wiersz z *Wunschbuch*³ Mamy, a potem go wyrecytować. Pamiętam dziadka, siedzącego jak gruby król, słuchającego naszych recytacji. Oczywiście błyszczały mu dumą. Pamiętam jego uścisk.

Niedaleko domu dziadków znajdował się dopływ Dunaju, gdzie Jultschi i ja chodziłyśmy pływać. By dojść do wody, trzeba było przejść przez wysoki drewniany most. Pewnego dnia, gdy miałam siedem lat, wstałam przed wszystkimi, pobiegłam na most, poślizgnęłam się i spadłam do rzeki. Wypląnąłam na powierzchnię i zaczęłam wyć z przerażenia. Jakiś młody człowiek wskoczył do wody i mnie uratował.

Od tego czasu bałam się wysokości. Nie jeździłam na nartach w Alpach, nie wspinałam się na szczyty budynków, by zawiesić na nich socjalistyczne transparenty. Starłam się trzymać ziemi.

W 1928 roku, gdy inflacja w Austrii była tak wysoka, że cena posiłku podwajała się, zanim człowiek go zjadł, Papa postanowił sprzedać restaurację.

Na szczęście wkrótce znalazł pracę u rodziny Kokischów, która zatrudniała go przedtem na Riwierze. Otworzyli właśnie nowy hotel w Bad Gastein, alpejskim kurorcie znanym z gorących źródeł leczniczych. Papa zarządzał hotelową restauracją.

Hotel Bristol położony był wśród zielonych łąk, pod ośnieżonymi szczytami. Źródła leczniczych wód tryskały do marmurowych basenów. Bogate rodziny spacerowały po ogrodowych alejkach, karmiąc grube wiewiórki i ściszonymi głosami prowa-

³ *Wunschbuch* – „Księga życzeń”.

dząc konwersacje. Bogate dziewczyny, których rodzice uważali, że są utalentowane, grywały na fortepianie lub śpiewały na popołudniowych koncertach w altanie. Odwiedzałyśmy tam Papę każdego lata. Było to rajskie życie.

Jako jedyny kosztowny hotel w okolicy Bristol przyciągał żydowskich gości z całego świata. Przyjeżdżała tam rodzina Och-sów, właściciele „New York Timesa”, bywał Zygmunt Freud i pisarz Szalom Asz. Pewnego razu na obiad do restauracji przyszedł wysoki blondyn, ubrany w tyrolskie skórzane spodnie i kapelusz z sierścią kozicy zamiast piórka. Papa był przekonany, że człowiek ten pomylił hotele. Wtedy jednak mężczyzna zdjął kapelusz, nałożył jarmułkę i wstał, by odmówić *bruchy*⁴.

– Najwyraźniej nawet Żydzi nie zawsze potrafią odróżnić, kto jest Żydem, a kto nie – zauważył Papa ze śmiechem.

W Bad Gastein po raz pierwszy spotkaliśmy rabinów z Polski, religijnych ludzi o pięknych, długich brodach, którzy powoli przemierzali sale hotelu ze splecionymi z tyłu rękoma. Napełniali mnie poczuciem tajemnicy i spokoju. Uważam, że jeden z nich uratował mi życie.

Miałam szesnaście lat, byłam niemądra i na wiele sobie pozwalałam. Siedziałam zbyt długo w basenie, przeziębiam się i dostałam gorączki. Mama położyła mnie do łóżka, zrobiła mi herbaty z miodem, a na czoło i przeguby położyła mi kompresy. Zapadała już noc, gdy jeden z rabinów zapukał do naszych drzwi. Powiedział, że nie zdążył dotrzeć do bożnicy na wieczorną modlitwę, i spytał, czy może odmówić ją w naszym domu. Mama oczywiście go zaprosiła. Gdy skończył się modlić, spytała, czy nie odmówiłby błogosławieństwa za chorą córkę.

Podszedł do mego łóżka, pochylił się nade mną i poklepał mnie po dłoni. Jego twarz promieniowała życzliwością i pogodą. Powiedział coś po hebrajsku, w języku, którego nie spodziewałam się poznać. Potem wyszedł. A ja wyzdrowiałam.

⁴ Brucha – błogosławieństwo.

W późniejszych latach, w chwilach, gdy sądziłam, że umrę, wspominałam tego człowieka i pocieszałam się myślą, że jego błogosławieństwo mnie chroni.

Oczywiście praca w tym raju wiązała się ze sprawami, które wcale nie były cudowne, ale stanowiły część ówczesnego życia i prawdę mówiąc – akceptowaliśmy je. Na przykład w regionie, gdzie znajdował się hotel, nie zezwalano na ubój rytualny. Dlatego rzeźnik musiał dokonywać uboju w sąsiednim regionie i dopiero potem przewozić mięso do Bristolu. Inny przykład: pokolenie naszych dziadków zazwyczaj mieszkało w miasteczkach wokół Wiednia – w Floritzdorfie, Stockerau. Żydom pozwolono osiedlać się w samym Wiedniu dopiero w tym okresie, gdy moi rodzice osiągnęli pełnoletniość.

Widzicie więc, dotyczyły nas obciążenia związane z byciem Żydami w antysemitycznym kraju, nie zyskaliśmy natomiast związanej z żydowskością siły, wynikającej z nauki Tory, modlitw, spójnej społeczności. Nie znaliśmy jidysz ani hebrajskiego. Nie nauczyliśmy się głębokiej wiary w Boga. Nie byliśmy polskimi chasydami ani litewskimi uczonymi z jesziwy. Nie byliśmy odważnymi, wolnymi Żydami z Ameryki – pamiętajcie o tym. I nie istnieli wówczas Izraelczycy, żołnierze na pustyni, żaden „naród jak inne narody”. Pamiętajcie o tym, gdy opowiadam swoją historię.

Mieliśmy swój intelekt i styl. Nasze miasto było wytworną „Królową Dunaju”, „Czerwonym Wiedniem” z opieką społeczną i budownictwem mieszkaniowym dla robotników. To tu geniusze tacy jak Freud, Herzl i Mahler tworzyli nowe idee: psychoanalizy, syjonizmu, socjalizmu, reformy, odnowy – rzucając światło na cały świat.

Przynajmniej pod tym względem – bycia „światłem narodów” – moi asymilowani wiedeńscy Żydzi byli tak samo żydowscy jak inni.

Rozdział 3

Grzeczna dziewczynka Pepiego Rosenfelda

Decyzja ojca, by pozwolić mi pójść do szkoły średniej, wywarła kolosalny wpływ na moje życie, ponieważ po raz pierwszy miałam kolegów. Zapewniam was, że nie miało to nic wspólnego z seksem. Dziewczęta z mojej warstwy społecznej czuły się w obowiązku zachować dziewictwo do dnia ślubu. Nie, w tym wypadku chodziło o rozwój intelektualny.

W tamtych czasach chłopcy po prostu byli lepiej wykształceni niż dziewczynki. Więcej czytali, więcej podróżowali, więcej myśleli. Po raz pierwszy zatem miałam przyjaciół, z którymi mogłam naprawdę rozmawiać o tym, co mnie interesowało – o historii, literaturze, licznych bolączkach społecznych i o tym, jak im zaradzić, by wszyscy byli szczęśliwi.

Kochałam matematykę, francuski i filozofię. Notatki z lekcji robiłam metodą stenograficzną i od razu się ich uczyłam; nigdy nie musiałam do nich wracać. Jedna z koleżanek, która miała okropne problemy z matematyką – Mama nazywała ją „Panną Einstein” – przychodziła do mnie codziennie przed lekcjami, żebym pomogła jej z pracą domową. Staralam się tłumaczyć tak, żeby nie czuła się upokorzona. W nagrodę za moją delikatność usłyszałam: „Jak to jest, że wy, Żydzi, jesteście zawsze tacy zdolni?”.

Byłam nastoletnią sufrażystką, idealistką, marzycielką. Planowałam sobie: pojadę do Rosji, będę mieszkać wśród chłopów i pisać bestsellerowe powieści o swoich romantycznych związkach z komisarzami. Albo: zostanę prawnikiem, może nawet sędzią, i będę niosła sprawiedliwość zwykłym ludziom. To ostatnie po

raz pierwszy przyszło mi do głowy we wrześniu 1928 roku, podczas procesu czasami nazywanego austriacką sprawą Dreyfusa.

Młody Philipp Halsmann wybrał się z ojcem na wędrowkę w Alpach w pobliżu Innsbrucku. Wysforował się naprzód, stracił ojca z oczu, a gdy zawrócił, znalazł go martwego – ojciec spadł ze szlaku do płynącego niżej strumienia. Syna oskarżono o morderstwo. Prokuratura, która nie dysponowała ani motywem, ani dowodami, oparła oskarżenie na antysemickich oszczerstwach, ponieważ Halsmann był Żydem, a wielu Austriaków chętnie wierzyło, że Żydzi mają mordercze skłonności. Pewien ksiądz stwierdził w kazaniu, że Halsmann – który utrzymywał, że jest niewinny – przez swój brak wyrzutów sumienia zasługuje na gorszy ogień piekielny niż Judasz. Pewien policjant oświadczył, że ukazał mu się duch ojca Halsmanna – jak duch ojca Hamleta – by oskarżyć syna.

Philippa niesłusznie uznano za winnego i skazano na dziesięć lat ciężkich robót. Odsiedział dwa lata. Później, dzięki interwencji takich osób jak laureat literackiej Nagrody Nobla Thomas Mann, wyrok skrócono do czasu, który skazaniec już odsiedział, i pozwolono mu wyjechać z kraju. Znalazł się w Ameryce, gdzie – jako Philippe Halsman – został sławnym fotografikiem.

Jego proces stał się dla mnie inspiracją. Wyobrażałam sobie, że siedzę za stołem sędziowskim i wydaję sprawiedliwe wyroki. W sądzie moich marzeń nikt niewinny nie mógł zostać skazany.

Nigdy nie łamałam żadnych reguł, poza jedną: nieodmiennie uciekałam z lekcji wf. Nikt się tym nie przejmował, ponieważ nikt nie wyobrażał sobie sytuacji, w której taka dziewczyna jak ja musiałaby się wykazywać siłą fizyczną. Byłam nieco *zaftig* – to wówczas uważano za urok – i podobałam się chłopcom.

Widzę ich przed sobą: Anton Rieder – wysoki, przystojny, ze zubożałej rodziny, pobożny katolik. Przyglądaliśmy się sobie na dystans. Rudolf Gischa – inteligentny, ambitny; nazywał mnie swoją „czarownicą” i kazał mi obiecać, że wyjdę za niego, jak

tylko skończy studia. Powiedziałam, że oczywiście za niego wyjdę, ale na razie powinniśmy to trzymać w sekrecie. Wiedziałam oczywiście, że gdybym powiedziała ojcu o zamiarze poślubienia nieżyda, zamknąłby mnie w domu i nie pozwolił mi pójść na uniwersytet, a to o ten przywilej nieustannie zabiegałam. Był dla mnie znacznie ważniejszy niż jakikolwiek chłopak.

Wśród trzydziściorga sześciorga uczniów w klasie były trzy Żydówki – Steffi Kanagur, Erna Marcus i ja. Pewnego dnia na ich ławkach ktoś napisał: „Żydzi, wynoście się, jedźcie do Palestyny!” Na mojej ławce tego nie napisano, ponieważ tamte dziewczęta przyjechały z Polski, a ja pochodziłam z Austrii. Wydawały się (i w gruncie rzeczy były) Żydówkami bardziej otwarcie niż ja.

Był rok 1930.

Erna Marcus była syjonistką. Któregoś razu ojciec udostępnił syjonistom swoją restaurację na zebranie i doszedł do wniosku, że cały pomysł odbudowy państwa żydowskiego w Palestynie to mrzonka. Jednak z powodu powszechnej propagandy antysemitycznej plany syjonistów kusily wielu młodych wiedeńskich Żydów, między innymi moją siostrzyczkę Hansi. Gdy ja czytałam Kanta, Nietzschego i Schopenhauera, gdy zanurzałam się w marmarzenia Goethego i Schillera, Hansi wstąpiła do Haszomer Hacair, ugrupowania lewicowej syjonistycznej młodzieży, i zamierzała odbyć hachszarę, przeszkolenie przygotowujące do pionierskiego życia w Izraelu.

Steffi Kanagur była komunistką, tak samo jak jej brat Siegfried. W pewną niedzielę powiedziałam rodzicom, że zamierzam wziąć udział w organizowanej przez niego komunistycznej demonstracji przeciwko chadeckiemu rządowi. W rzeczywistości zamierzałam spotkać się w parku z Rudolfem Giszą.

– Jak tam demonstracja? – spytał ojciec, gdy wróciłam do domu.

– Wspaniale! – wykrzyknęłam. – Były pęki czerwonych baloników, wszyscy machali czerwonymi chorągiewkami. Chór Ligi

Młodzieży Komunistycznej pięknie śpiewał, orkiestra grała na rogach i bębnie... O co chodzi?

Papa patrzył na mnie gniewnie. Mama schowała twarz w fartuchu, by stłumić chichot.

– Nie było żadnej demonstracji – powiedział Papa. – Rząd jej zakazał.

Zamknięta w niesławie w pokoju grałam z Hansi w szachy i zastanawiałam się, dlaczego rząd miałby odwoływać demonstrację Siegfrieda Kanagura.

Cóż, nie miałam głowy do polityki. Działalność polityczną postrzegałam jako zabawę, ideologiczne harce z inteligentnymi dziećmi. Gdy Mimi i ja wstąpiłyśmy do klubu socjalistów w szkole średniej, to nie z powodu przekonania, ale by stworzyć sobie nowy krąg towarzyski, w którym będziemy słuchać o ciężkiej doli robotników, uczyć się socjalistycznych pieśni i poznać chłopców z innych szkół – takich jak „Żałobny” Kohn, który studiował medycynę, „Wesołek” Zich, który planował spędzić resztę życia, jeżdżąc na nartach, czy Wolfgang Roemer, niski, ciemny i ujmujący. A także Josef Rosenfeld, którego powszechnie nazywano Pepi.

Pepi był ode mnie pół roku starszy, ale znacznie dojrzały i chodził w szkole do wyższej klasy. Miał osiemnaście lat, był zręczny i szczupły, i już wtedy zaczynał łysieć. Miał jednak błyszczące niebieskie oczy i szelmowski, koci uśmiech. Palił papierosy. I oczywiście był wybitnie zdolny, absolutnie błyskotliwy; to także mi się w nim podobało.

Podczas tańca na szkolnym balu nie przestawałam mu opowiadać o sztukach Arthura Schnitzlera.

– Spotkaj się ze mną w parku przy Belwederze w przyszłą sobotę o ósmej – zaproponował.

– Dobrze – odparłam. – To do zobaczenia.

I ruszyłam do walca z Zichem czy Kohnem, czy Antonem, czy Wolfgangiem, czy Rudolfem.

Nadeszła sobota. Postanowiłam pójść na zakupy i spytałam Wolfganga, czy nie chciałby mi towarzyszyć. Zgodził się. Zaczęło padać, więc kompletnie przemokłam. Wolfgang zabrał mnie do domu, gdzie jego matka, Frau Roemer, jedna z najstarszych kobiet, jakie znałam w życiu, wysuszyła mi włosy i nakarmiła mnie truskawkami ze śmietaną. Przyszedł jej mąż i jego lekko-myślny brat, wujek Felix. W końcu pojawiła się Ilse, młodsza siostra Wolfganga, otrzepując parasolkę. Zwinęli dywan, wyciągnęli gramofon, nałożyli jakąś nową płytę ze swingiem i zaczęliśmy tańczyć. I nagle pojawił się przemoczony do suchej nitki Pepi Rosenfeld.

– Ta dziewczyna z klubu socjalistycznego zgodziła się ze mną spotkać przy Belwederze, czekałem na nią godzinę i w końcu zrezygnowałem. Jestem taki wściekły! Mama ma rację, dziewczęta są niemożliwe!

Zobaczył mnie i zamarł w miejscu. Woda z niego kapała, muzyka grała dalej.

– Tak mi przykro – powiedziałam niewinnie. – Zapomniałam.

– Zatańcz ze mną – odparł – to ci opowiem, jaki jestem na ciebie zły.

Następnego dnia do naszego domu przyszedł chłopak nazwiskiem Suri Fellner z listem podpisanym przez Wolfganga i Pepiego. Najwyraźniej przedyskutowali sytuację i doszli do wniosku, że muszę dokonać między nimi wyboru. Ten, którego wskażę, będzie moim chłopakiem. Drugi wycofa się ze złamanym sercem.

Pod listem napisałam „Wolfgang” i odesłałam list przez tego samego emisariusza. Parę tygodni później wyjechałam z rodziną na wakacje w góry i kompletnie zapomniałam, że „wybrałam” Wolfganga Roemera. Na szczęście on także.

W ostatniej klasie szkoły średniej – był rok 1933 – pisałam końcową pracę zaliczeniową na temat *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego. Postanowiłam poszukać źródeł w Bibliotece Narodowej.

(Zgodziłam się też w drodze powrotnej spotkać z Mimi przy podwójnych kolumnach Karlskirche). Nagle jakby znikąd wynurzył się Pepi Rosenfeld. Potrafił to robić – pojawiać się ni stąd, ni zowąd, cicho jak kot, lekko uśmiechnięty. Bez słowa wziął ode mnie ciężkie książki i ruszył obok.

– Czy kiedykolwiek byłaś już w Bibliotece Narodowej? – spytał.

– Nie.

– A ja chodzę tam często, jako że zapisałem się na wydział prawa na uniwersytecie. I zapewniam cię, że biblioteka jest gigantyczna. Ponieważ nie znasz rozkładu pomieszczeń, możesz nie wiedzieć, którędy wejść. Mogłabyś się nawet zgubić, zanim jeszcze znajdziesz się w środku! Lepiej, żebym cię poprowadził.

Poszliśmy więc razem. Szliśmy i szliśmy, obok pałaców, przez parki, rozganiając gołębie, nie słysząc zegarów, które wybijały w mieście godziny.

– Moja praca ma być długa i złożona – mówiłam. – Będę cytować wszystkich wielkich myślicieli – Karola Marksa, Zygmunta Freuda.

– A Adolfa Hitlera?

– Jego? To nie myśliciel. To tylko krzykacz.

– Może nadejść taki czas – stwierdził Pepi – gdy ludzie nie będą umieli tego rozróżnić.

– To niemożliwe – przepowiedziałam całkiem serio. – Czytałam książkę Hitlera *Mein Kampf*, a także niektóre prace jego towarzysza Herr Alfreda Rosenberga, ponieważ jestem osobą sprawiedliwą i obiektywną, więc wierzę, że przed wyrobieniem sobie opinii trzeba poznać zdania wszystkich stron. Mogę ci zatem wprost powiedzieć, że ci ludzie to idioci. Ich idee, że to Żydzi zatruli tak zwaną wyższą rasę aryjską i są przyczyną wszystkich kłopotów Niemiec, to całkowita bzdura. Żaden inteligentny człowiek w to nie uwierzy. Hitler jest żalosny. Wkrótce zniknie ze sceny.

– Tak samo jak twoi dawni adoratorzy – powiedział Pepi z szelmowskim uśmiechem.

Zatrzymaliśmy się na ciastko i kawę, jak ludzie naszego pokroju zwykli czynić wczesnym popołudniem. Opowiedział mi o swoich studiach, swoich profesorach, swojej wielkiej przyszłości jako doktora praw. Słońce odbijało się od wież kościołów. W parku koło Belwederu przerwał mi paplaninę lekkim pocałunkiem. Całkowicie straciłam głowę. Odłożył książki, wziął mnie w ramiona i pocałował jak należy. Nigdy nie dotarliśmy do Biblioteki Narodowej. Nigdy nie spotkałam się z moją siostrą Mimi (która później przez całe lata mi wypominała, że ją zlekceważyłam). Jednak pod koniec tego popołudnia sprawdziło się to, co wcześniej powiedział Pepi Rosenfeld: wszyscy moi dawni chłopcy zwyczajnie zniknęli. Przeminięli. Po prostu.

Pepi zawsze potrafił skupić na sobie moją uwagę. Mogłam być na zajęciach, w księgarni, w kawiarni – i nagle czułam mrowienie skóry na głowie lub karku, a gdy się oglądałam, okazywało się, że właśnie na mnie patrzy. Nigdy nie opowiadał bzdur. Zawsze miał coś istotnego do przekazania. Czułam, że moje długie poszukiwania kogoś, kto dzieliłby ze mną pasję do idei, książek i sztuki, zostały uwieńczone powodzeniem. Wkrótce szaleńczo się w nim zakochałam i nie potrafiłam myśleć o nikim innym. Gdy mój dawny adorator Rudolf Gischa przysłał mi list z uniwersytetu w Kraju Sudeckim, że postanowił wstąpić do NSDAP, że Adolf Hitler ma rację pod każdym względem, także w tym, co mówi o Żydach, i czy mogę zwolnić go z obietnicy miłości i małżeństwa – uczyniłam to z przyjemnością.

Gdy poznałam Pepiego, jego ojciec już nie żył. Zmarł w Steinhofie, sławnym szpitalu psychiatrycznym zbudowanym przez cesarza. Stryjowie Pepiego, ważne osobistości w mieście Eisenstadt, wypłacali miesięczną pensję matce Pepiego Annie. By móc wyjść za mąż za ojca Pepiego, przeszła na judaizm, ale w grun-

cie rzeczy zawsze pozostawała zapalającą świeczki i chodzącą na msze katolicką. Po śmierci Herr Rosenfelda Anna udawała, że nadal wyznaje judaizm, bo chciała, by rodzina męża wciąż ją finansowała. Utrzymywała w tajemnicy fakt, że w 1934 roku wyszła za mąż za Herr Hofera, agenta ubezpieczeniowego z Ybbs, nie chciała bowiem stracić regularnie wpływających pieniędzy.

Pepi miał coś w rodzaju bar micwy; w gruncie rzeczy było to tylko przyjęcie, wydane przez jego matkę z nadzieją na prezenty. Spotkało ją rozczarowanie, bo stryjowie Pepiego zamiast gotówki podarowali mu pięknie oprawione dzieła Schillera i Goethego. To dziwne, ale wydaje mi się, że jeśli Pepi czuł się jakkolwiek związany z żydowskimi sprawami, to być może dzięki tym pięknie oprawnym niemieckim książkom. Wiedział, że nigdy by ich nie otrzymał od rodziny matki. Zdawał sobie sprawę, że pod względem intelektualnym jest związany z żydowską częścią rodziny. A cała osobowość Pepiego skupiała się w jego intelekcie – zapamiętajcie to.

Anna nie była głupia, ale niewykształcona, pełna przesądów, nietajonych lęków i pragnień. Masywna, zawsze zadyszana i zaczerwieniona, ubierała się krzykliwie, w sposób nieodpowiedni dla kobiety w jej wieku i budowy. Uśmiechała się szeroko i fałszywie, pokazując duże zęby. Rudawe włosy układała w drobne, utrwalane piwem loczki. Całymi dniami plotkowała i nigdy niczego nie czytała.

Spała w jednym pokoju z synem, nawet gdy już dorósł. Obsługiwała go, jakby był królem: codziennie podawała obiad na dobrej porcelanie i uciszała dzieci sąsiadów, gdy kładł się na po południową drzemkę.

Zawsze wiedziała, które dziecko w sąsiedztwie urodziło się z jakąś wadą, i zawsze umiała wyjaśnić, dlaczego tak się stało: zającza warga wynikała z próżności matki, krótsza noga z romansowania ojca. Powiedziała Pepiemu, że pod koniec życia jego ojciec miał demencję – co jej zdaniem niewątpliwie wyni-

kało z syfilisu. Do dziś nie wiem, czy to była prawda. Być może przyszło jej to do głowy dzięki temu samemu źródłu austriackiej trucizny, z którego Hitler zaczerpnął przekonanie, że syfilis to „żydowska choroba”.

Anna kupowała „młode wino”, które, jak mówiła, „jeszcze nie dojrzało”, a zatem „nie zawiera alkoholu i nie może uderzyć do głowy”. Pod koniec dnia Pepi i ja zastawaliśmy ją często w salonie ich mieszkania przy Dampfstraße 1, gdzie piła „młode wino” i z zaniepokojonym wyrazem twarzy słuchała narodowosocjalistycznej rozgłośni.

– Na litość boską, mamo! – protestował Pepi. – Po co się denerwujesz słuchaniem tej bezsensownej propagandy?

Anna patrzyła na nas przestraszonym wzrokiem.

– Nie można ich lekceważyć – mówiła.

– Daj spokój...

– Są bardzo niebezpieczni, mój kochany synu! – upierała się. – Nienawidzą Żydów. O wszystko obwiniają Żydów.

– Nikt tego nie słucha – zaprotestował Pepi.

– Wszyscy słuchają! – wykrzyknęła. – Słyszę, o czym ludzie rozmawiają w kościele, na targu. Wiem, że wszyscy słuchają i wszyscy się z tym zgadzają!

Wydawała się bardzo poruszona, bliska łez. Sądziłam, że to z powodu wina.

Mój ojciec ustąpił; zgodził się, żebym poszła na uniwersytet. Postanowiłam studiować prawo.

W tamtych czasach ci, którzy zamierzali być sędziami, i ci, którzy zamierzali być adwokatami, mieli taki sam tok studiów, a specjalizowali się dopiero po końcowych egzaminach. Studiowaliśmy prawo rzymskie, prawo niemieckie i prawo kościelne; kodeks cywilny, karny i handlowy; prawo międzynarodowe, nauki polityczne, teorię ekonomii, a także kilka nowych przedmiotów związanych z kryminalistyką, na przykład psychiatrię i fotografię sądową.

Kupiłam mały aparat fotograficzny i robiłam zdjęcia ludziom.

Matka Pepiego kupiła mu leicę. Urządził sobie w domu ciemnię i wykonywał pełne smutku zdjęcia przedmiotów: rozrzucone na stole domino oświetlone ukośnym promieniem słońca, książki i owoce.

Gdy w Niemczech Hitler obejmował władzę, wędrowałam po górach z dziewczętami z klubu młodych socjalistów. Pamiętam Heddy Deutsch, córkę żydowskiego posła do parlamentu, i Elfi Westermayer, studentkę medycyny. Sypiałyśmy na sianie w stołach u chłopów nad jeziorami koło Saint Gilden i Gmunden. Nosiłyśmy niebieskie bluzki, buty nabite ćwiekami, żeby lepiej trzymały się zwirowych ścieżek, i śpiewałyśmy na świeżym górskim powietrzu. Pamiętam wszystkie pieśni: *Międzynarodówkę*, *Das Wandern Ist des Müllers Lust*, *Bandiera Rossa*.

Podczas roku szkolnego spotykałam się z przyjaciółmi w klubie socjalistów i zajmowałam się wraz z nimi zbawianiem świata. W tych burzliwych czasach inni młodzi ludzie żyli polityką i byli gotowi ginąć za przekonania. Moja grupa zajmowała się przede wszystkim rozmową.

Było wśród nas dwóch chłopców, Fritz i Frank, którzy stale i bez większego zaangażowania grali w pingponga. Regularny, leniwy stukot piłeczki nie oddawał w żadnej mierze szalonego rytmu świata na zewnątrz. Kilka dziewcząt przynosiło upieczone przez matki ciasto. Jeden chłopak przychodził z płytami z muzyką taneczną. Pepi użyczał swoich szachów. On, Wolfgang i ja nieustannie graliśmy. Od czasu do czasu zdarzało mi się nawet ich pokonać.

– Oswald Spengler uważa, że nasze wielkie osiągnięcia kultury należą do przeszłości – powiedział Pepi, przesuwając wieżę.
– Mówi, że wszyscy popadamy w materializm i filozofujemy, zamiast być ludźmi czynu.

– Ach, to narodowi socjaliści muszą go kochać – stwierdził Wolfgang, patrząc mi przez ramię i w myślach planując mój następny ruch – ponieważ uważają się za ludzi czynu.

– Narodowi socjaliści wyrzucili Spenglera – zauważył Pepi. – Nie lubią nikogo, kto mówi, że najgorsze nas dopiero czeka.

– Oni uważają, że ich przyszłość jest piękna – włączyłam się, zręcznie zaganiając do kąta króla Pepiego. – Przewidują tysiącletnie trwanie Rzeszy, w której będą nadludźmi, a wszyscy podludzie będą na nich pracować.

– A co ty przewidujesz, Edith? – zawołał Fritz od stołu pingpongowego.

– Ja przewiduję sześcioro dzieci, które będą siedzieć wokół stołu z wielkimi białymi serwetkami pod brodą, jeść obiad i wołać „Mama, ten strudel jest pyszny!”.

– A kto upiecze strudel? – zażartował Pepi. – Co będzie, jeśli babcia Hahn tego dnia będzie zajęta czym innym?

Dałam mu kuksańca. Ścisnął moją dłoń.

– Czy słyszeliście, że Hitler zabiera dzieci matkom? – powiedział Wolfgang. – Jeśli kobieta nie uczy dziecka narodowosocjalistycznej doktryny, traci je.

– Ależ sądy na pewno tego nie sankcjonują! – wykrzyknęłam.

– Sądy są pełne narodowych socjalistów – odparł Pepi.

– Jak to możliwe, że taka banda nadętych facetów może tak szybko zniszczyć demokratyczne instytucje wielkiego państwa?! – zawołał zirytowany Wolfgang, waląc pięścią w stół tak mocno, że figury szachowe się przewróciły.

– Freud by ci powiedział, że to triumf ego – powiedział Pepi. – Uważają, że są wielkimi ludźmi, a ich zadufanie błyszczy tak mocno, że oślepia wszystkich dookoła. Problem z narodowymi socjalistami polega na tym, że nie potrafią być samokrytyczni, więc starając się osiągnąć wielkość, osiągają tylko parodię wielkości. Cezar podbijał narody, brał ich wodzów do niewoli, korzystał z ich wiedzy i zdolności i dzięki temu wzbogacał imperium. Hitler spali narody, ich przywódców będzie torturować na śmierć i zniszczy świat.

Zamilkliśmy, oszołomieni przepowiednią Pepiego. Przyjaciele przestali tańczyć i gawędzić. Stukot piłeczki zamarł.

– Co powinniśmy robić, Pepi?

– Musimy walczyć o rządy prawa i wierzyć w nieuchronne nadejście socjalistycznego raju – odparł Pepi, obejmując mnie ramieniem. – Jedna klasa, żadnych panów. Żadnych niewolników. Żadnych białych. Żadnych czarnych. Żadnych żydów. Żadnych chrześcijan. Jedna rasa: rasa ludzka.

Jak opisać dumę, którą czułam w tamtej chwili? Być dziewczyną Pepiego, wybranką niewątpliwego intelektualnego przywódcy – takie właśnie miejsce chciałam zajmować w społeczeństwie, a jego wizja była dokładnie taką przyszłością, jakiej pragnęłam dla ludzkości.

Lata moich studiów na Uniwersytecie Wiedeńskim, od 1933 do 1937 roku, były w Austrii okresem burzliwym. Kanclerz Dollfuss, zdecydowany zachować religijny, katolicki charakter kraju, zdelegalizował partię socjalistyczną. Socjaliści reagowali w sposób, który ja – sama socjalistka – uważałam często za głupi.

Poszłam na nielegalne zebranie socjalistów. Wydaje mi się, że miał przemawiać Bruno Kreisky. Nasi przywódcy otrzymali zezwolenie na wykorzystanie sali dzięki deklaracji, że jest to próba chóru towarzystwa śpiewaczego. Powiedzieli nam, że gdyby pojawiła się policja, mamy natychmiast zacząć śpiewać *Ode do radości* Beethovena. Więc ćwiczyliśmy.

Powiem wam, że nie da się opisać dźwięków, jakie z siebie wydawaliśmy. Gryzłam wargi, gryzłam palce, niemal zjadłam nuty, ale nic nie pomagało. I ja, i wszyscy pozostali po prostu pękaliśmy z historycznego śmiechu.

Socjaliści wezwali do strajku generalnego, ale w 1934 roku blisko jedna trzecia wiedeńskiej klasy pracującej była bezrobotna. Jak można strajkować, skoro się nie pracuje? Równie niemądry rząd wezwał wojsko, które ostrzelało domy robotników. Socjaliści od-

powiedzieli ogniem. Były setki zabitych i rannych. I tak dwie siły w Austrii, które powinny były się związać sojuszem przeciwko narodowym socjalistom, na zawsze podzielił gniew, gorycz i żaloba.

Dollfuss wyrzucił z kraju narodowosocjalistycznych przywódców, a Hitler ich przyjął i umieścił w Monachium; dał im potężny nadajnik radiowy, którego używali do grożenia nam i pouczenia. Opowiadali okropne historie o tym, że bolszewicy w Czechosłowacji zabijają mieszkańców niemieckiego pochodzenia, i o tym, jak „złodziejscy, kłamliwi, morderczy” Żydzi wywołali kryzys ekonomiczny, przez który miliony ludzi zostały bez pracy. Odmawiałam słuchania tej rozgłośni, nigdy więc nie słyszałam wrzasku Hitlera.

Studenci o narodowosocjalistycznych przekonaniach wszczykali bójki i zamieszki, by zakłócić uniwersyteckie życie. Bili studentów i profesorów, którzy wypowiadali się przeciwko Hitlerowi. Wrzucali cuchnące bomby do sal wykładowych, uniemożliwiając naukę. Policja z kolei starała się rozpędzać demonstracje studenckie z użyciem gazu łzawiącego. Jeśli żywiliśmy jeszcze jakieś złudzenia, jak wyglądałaby Austria pod władzą narodowych socjalistów, rozwiewali je niemieccy pisarze, przybywający na wykłady w Konzerthalle: Erich Kästner, mój bohater, autor książki *Emil i detektywi*, czy Thomas Mann, laureat Nagrody Nobla, autor *Czarodziejskiej góry*, wysoki, surowy i tak ponury, że serce mi zamarło, gdy ujrzałam go stojącego na podium.

– Nie wiem, co ten wieczór znaczy dla was – powiedział Mann do antyfaszystowskiego tłumu, który zgromadził się w Wiedniu, by zaprotestować przeciwko narastającej przemocy – ale dla mnie znaczy więcej.

Niektórzy znajomi zaczęli nosić białe skarpetki, by pokazać, że sympatyzują z narodowymi socjalistami. Poza Rudolfem Gischą należeli do nich moja poranna uczennica, „Panna Einstein”, Elfi Westermayer i jej chłopak Franz Sehors. Uważałam, że przejęściowo zwariowali.

Widzicie, pielęgnowałam ślepotę tak, jak moja babcia pielęgnowała kaktusy w Stockerau: nie zważając, że ta roślina nie nadaje się do tutejszego klimatu.

Austriaccy narodowi socjaliści zaczęli zabijać socjalistycznych przywódców. Dwudziestego piątego lipca 1934 roku zamordowali kanclerza Dollfussa.

Wprowadzono stan wojenny. Ulice pełne były policjantów, uzbrojonych strażników, którzy pilnowali bram licznych w naszej okolicy ambasad. Gdy raz wracałam do domu z zajęć, policjant na motocyklu zajeżdżał drogę dwóm idącym przede mną mężczyznom i zażądał od nich dokumentów, a potem otwarcia teczek. Skręciłam w Argentinierstrasse, a tam przeszukiwano młodego mężczyznę i przepytywano jego towarzyszkę, mniej więcej w moim wieku.

Prawdę mówiąc, chciałam, żeby mnie też zatrzymano. Byłoby to podniecające wydarzenie, o którym mogłabym opowiedzieć przyjaciołom. Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi! Nawet gdy ktoś na mnie patrzył, to bez niepokoju. Było we mnie coś takiego, co sygnalizowało „głupia”, „niewinna”, „nieważna”. Chodziłam więc swobodnie po wzburzonym, niebezpiecznym mieście – dwudziestoletnia studentka prawa, która wyglądała na czternastolatkę i dla nikogo nie stanowiła zagrożenia.

Po śmierci Dollfussa urząd objął nowy kanclerz, Kurt von Schuschnigg. Nie był tak lubiany jak jego poprzednik, ale ludzie go szanowali i uważali, że zdoła nas wypłatać z agresywnych planów Hitlera.

Pepi i ja chodziliśmy na długie spacery po mieście, czytaliśmy sobie nawzajem i marzyliśmy o socjalistycznym raj. Tymczasem niemieckie wojsko wkroczyło do rzekomo zdemilitaryzowanej Nadrenii, a następnie faszyci wszczęli w Hiszpanii wojnę domową. Włosi, którzy podobno byli sojusznikami Austrii, zawiązali sojusz z Hitlerem, by móc swobodnie zaatakować Etiopię.

A potem zmarł mój ojciec.

Był czerwiec 1936 roku. Papa przystanął w drzwiach restauracji hotelu Bristol, rozejrzał się, sprawdzając, czy wszystko jest jak trzeba – stoły bez jednej plamki, kelnerzy na baczność – po czym upadł martwy na ziemię.

Ta wiadomość uderzyła nas tak nagle i z taką siłą, że nie potrafiliśmy zareagować. Załamała się nasza podpora, nasza opoka.

Mama siedziała w salonie i patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, nieuczesana, z twarzą obrzmiałą od nieustannie płynących łez. Mimi tkwiła w milczeniu, załamana, trzymając za rękę swego chłopaka, studenta, mego kolegę Milo Grenzbauera. Kochana Hansi nie była w stanie opanować szlochu.

Krażyłam między kuchnią a salonem, podając kawę gościom przybyłym z kondolencjami. Przyszła nasza dozorczyńni, Frau Falat. Przyszła Jultschi z narzeczonym, aroganckim, przystojnym czeskim krawcem Ottonem Ondrejem. Jultschi tuliła się do niego, ściskając mu dłoń, wycierając oczy jego chusteczką.

Przyszedł Pepi z matką. Anna siadła koło Mamy i mówiła, jak trudno jest żyć samotnej kobiecie, a równocześnie niezbyt dyskretnie wypytywała innych gości, ile pieniędzy ojciec zostawił.

W kuchni Pepi głąskał mnie po głowie i powtarzał, że wszystko będzie dobrze.

Nie wierzyłam mu. Nagle poczułam się znacznie bardziej bezbronna wobec sytuacji politycznej niż wcześniej. Jak zdołamy przetrwać te burzliwe czasy bez ojca, który nas chronił? Tamtego lata na olimpiadzie w Monachium niemieccy sportowcy pozdrawiali swego brzydkiego małego Führera, a każde ich zwycięstwo wydawało mi się wymierzone przeciwko Hahnom z Wiednia.

By utrzymać rodzinę, Mama postanowiła otworzyć pracownię krawiecką. Wycinała obrazki eleganckich strojów, a potem szyła je na zamówienie klientów z takich materiałów, jakie chcieli, i z takim wykończeniem, jakiego sobie życzyli. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem musiała spytać wszystkie pozostałe krawcowe w okolicy, czy zgadzają się, żeby otworzyła pracownię. Wszystkie bez wyjąt-

ku powiedziały „tak”. Przy takim wyrazie zaufania Mama nie mogła już wątpić, że sąsiedzi darzą ją wielkim szacunkiem.

Mój wkład w utrzymanie rodziny polegał na przyjęciu tyłu korepetycji, ile zdołałam, i intensywnej nauce do państwowych egzaminów dyplomowych. Myślałam, że zanim zostanę doktorem praw i będę dobrze zarabiać, nasze problemy polityczne być może same się rozwiążą.

Trudno jednak było mi się skupić. Chodziłam na zajęcia przepełniona rozpaczą i smutkiem. Siedziałam w bibliotece nad otwartą książką, nie czytając, niezdolna zmusić mózgu do pracy. Pewnego dnia krzesło obok zajął Anton Rieder, moja dawna szkolna sympatia. Jego ojciec umarł, gdy Anton był jeszcze dzieckiem. Znał to uczucie – utratę kierunku, niepewność, przedwczesną dojrzałość.

– Nadal jesteś piękna – powiedział.

– A ty jak zawsze szarmancki.

– Wstąpiłem do Akademii Konsularnej. Nie dlatego, że tak bardzo chciałbym zostać dyplomata, tylko dlatego, że dali mi stypendium.

– Ależ to wspaniale, Anton. Będiesz mógł podróżować, może pojedziesz do Anglii albo Ameryki...

– Pojedź ze mną.

– Co takiego?

– Wiem, że chodzisz z Pepim Rosenfeldem, ale wierz mi, jest tak inteligentny, że aż mu to szkodzi. Jego umysł nieodmiennie weźmie górę nad sumieniem. Nie zasługuje na ciebie. Od zawsze byłem w tobie zakochany, wiesz o tym. Zostaw go i zwiąż się ze mną. Nic nie mam. Teraz, gdy zmarł twój ojciec, ty też nic nie masz. Doskonale do siebie pasujemy.

Sięgnął przez stół i wziął mnie za rękę. Był taki przystojny, taki szczerzy. Przemknęło mi przez głowę: „Może. Czemu nie?”. Ale oczywiście zaraz na stole między nami pojawiły się wszystkie powody, dla których było to niemożliwe, a Anton nie mógł

ich nie zauważyć. Zatem, jak mądry młody dyplomata, wstał, pocałował mnie w rękę i odszedł.

Odwiedził nas nowy sąsiad – inżynier nazwiskiem Denner, sympatycznie wyglądający, towarzyski człowiek. Jego żona niedawno zmarła na gruźlicę po długiej i ciężkiej chorobie. Miał dwie córki: jedenastoletnią Elsię i czternastoletnią Christl. Często musiał wyjeżdżać w interesach, a dziewczynki zostawały same, szukał więc korepetytora, który by nadzorował ich naukę. Nasza dozorczyni gorąco mnie polecała, a ja z chęcią przyjąłam to zlecenie. Teraz więc codziennie po powrocie z uniwersytetu spędzałam popołudnie z tymi uroczymi dziewczynkami.

Dennerowie mieszkali na „balowym” piętrze naszego domu, w wielkiej przestrzeni, która nie dawała się podzielić. Niegdyś ludzie o nazwiskach zaczynających się od „von” spotykali się tam i tańczyli do barokowej muzyki. Ogromne okna sięgały od podłogi do sufitu. Drewniana podłoga wydawała się nie mieć końca. Widok dziewczynek froterujących podłogę naprawdę ścisnął za serce.

– Kto przychodzi na bal? – zawołałam, widząc, jak szorują i polerują. – Habsburgów obalono. Burbonów nie ma w mieście.

– Ojciec lubi, jak to robimy i tym samym przyczyniamy się do zachowania dawnej chwały naszego kraju – jęknęła Christl.

Każda z dziewczynek miała szczeniaka o rosyjskim imieniu, na cześć Frau Denner, która pochodziła z Białej Rosji. Szczeniak Elsy był dobrze wychowany i spał jej na kolanach. Szczeniak Christl lubił gonić gołębie i skakał gościom w ramiona, by lizaniem okazywać miłość. Charaktery psów pasowały do charakterów dziewcząt: Elsa była doskonale zorganizowana, życie Christl stanowiło ciągłą przygodę.

Christl uczyła się w szkole handlowej, ale nie umiała prowadzić księgowości ani czysto napisać listu; nie była w stanie się skupić. Siedziałam z nią, gdy borykała się z zadaniami domowy-

mi; spacerowałam z nią i jej psem po podwórzu naszego domu. Wkrótce przychodziła do mnie z każdym problemem wieku dojrzewania. Była wysoka i pełna życia, miała ciemnoblond włosy i niemal fioletowe oczy. Uganiało się za nią wielu chłopców. Wyczekiwali na ulicy i śpiewali pod jej oknami, odprowadzali ją do domu, przysyłali kwiaty, kupowali smakołyki dla psa – wszystko, by zwrócić na siebie jej uwagę.

Gdy miała piętnaście lat, a ja dwadzieścia trzy, Christl się zakochała. Jej wybranek nazywał się Hans Beran, a powszechnie zwano go Bertschi.

– Nie jest zbyt mądry – powiedział Herr Denner – ale przynajmniej nie szasta pieniędzmi jak reszta tych młodych ludzi.

Bertschi nie ułatwiał Christl życia. Najpierw rozpaczliwie jej pragnął. Potem był zbyt nieśmiały, by przyjąć jej uczucie. Potem uznał, że jest dla niego zbyt piękna, a on nie zniesie zazdrości innych chłopców. Potem zadzwonił późno w nocy i powiedział, że nie zdoła bez niej żyć, i że muszą się spotkać w Café Mozart, by mógł jej powiedzieć, jak ją uwielbia.

Ileokroć pojawiałam się u nich w domu, Christl bez tchu witała mnie przy drzwiach i szeptała:

– Muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy!

Wciskała mnie w ciemny kąt w holu i opowiadała, jaką to wspałałą głupią rzecz Bertschi zrobił i jak pilnie musi napisać do niego list, i jak absolutnie nie może tego zrobić bez mojej pomocy.

– Och proszę, Edith, proszę. Jeśli to ty napiszesz list, będzie doskonały! Proszę, proszę!

Jak mogłam odmówić? Nigdy nie potrafiłam się oprzeć młodszej z sióstr.

Gdy zdała ostatni egzamin w szkole handlowej, jej ojciec wydał przyjęcie. Wynajął statek i zaprosił gości na rejs po Dunaju w świetle księżycy. Pod koniec wieczoru kelner przyniósł mi bukiet czerwonych róż. Nie było przy nich żadnej karteczki i nie miałam pojęcia, kto je przysłał.

Moja Mama, która w bawialni naszywała śliczne ptaszki na moją nową żółtą bluzkę, od razu wiedziała.

– Kwiaty są od Herr Dennera – powiedziała. – Bo kiedy dziewczynki potrzebowały zastępczej matki, kogoś, kto ich wysłucha i się o nie zatroszczy, byłaś na miejscu. – Mama się zaśmiała. – Widzisz więc, Edith, że musisz zostać matką. Najwyraźniej masz do tego talent.

Narodowosocjalistyczne zbiry twierdziły, że kanclerz von Schuschnigg zamierza przywrócić monarchię Habsburgów, a gdy to się stanie, Niemcy będą zmuszone wkroczyć do Austrii, by militarnie udaremnić realizację tego planu. Była to bezpośrednia groźba, wstęp do tego, co miało nastąpić.

Kanclerz przez pewien czas odpierał ich ataki, wkrótce jednak zrozumiał, że nikt mu nie pomoże, a opór jest bezsensowny. Jedenastego marca 1938 roku Pepi i ja spacerowaliśmy po dzielnicy robotniczej – trzymając się za ręce i przytulając w chłodnym, gęstniejącym mroku – gdy ktoś wychylił się przez okno i powiedział:

– Von Schuschnigg podał się do dymisji.

Na ulicy zapanowała martwa cisza.

Pepi mnie przytulił.

– Musimy się stąd wydostać – szepnęłam mu w kark.

– Poczekamy, zobaczymy – odparł.

– Nie, nie, musimy teraz stąd wyjechać – powtórzyłam, wtulając się w niego.

– Nie ulegaj hysterii. To się może za tydzień skończyć.

– Boję się...

– Nie bój się. Jestem tu z tobą. Kocham cię. Jesteś moja. Zawsze się będę tobą opiekował.

Pocałował mnie tak namiętnie, że czułam, jak całe moje ciało robi się ciepłe i świetliste. Co mnie to obchodzi, że politycy znikają, a narody gotują się do wojny? Miałam Pepiego, mego geniusza, moją ostoję, opokę zastępującą mi ojca.

Następnego dnia przypadało złote gody rodziców mojej mamy. Cała rodzina miała jechać do Stockerau na uroczystość. Mielіśmy prezenty, ciasta, wino i przygotowane toasty.

Nie wyruszyliśmy jednak w tę szczęśliwą podróż, ani wtedy, ani później, ponieważ niemiecka armia wybrała ten dzień na wkroczenie do Austrii. Powiewały flagi, grała muzyka wojskowa. Narodowosocjalistyczna rozgłośnia radiowa – która stała się jedyną rozgłośnią – wyła triumfalnie. Tysiące naszych przyjaciół, sąsiadów i rodaków zgromadziło się na bulwarach, by witać Wehrmacht radosnymi, entuzjastycznymi okrzykami.

Dziesiątego kwietnia 1938 roku ponad dziewięćdziesiąt procent Austriaków zagłosowało „tak” w sprawie unii z Niemcami.

Przyjaciel socjalista, którego ojca zabili narodowosocjalistyczni mordercy, chciał zorganizować protest przeciwko Anchlussowi i próbował zwerbować mnie do podziemnej organizacji. Powiedział, że mogłabym otrzymać inne nazwisko, należeć do komórki i być łączniczką.

Po raz pierwszy dostrzegłam praktyczny sens działalności politycznej.

– Tak – powiedziałam, ściskając mu dłoń na potwierdzenie. – Możesz na mnie liczyć.

Ale Pepi powiedział nie. Tłumaczył mi, że nawet myśl o czymś takim świadczy o moim braku odpowiedzialności, bo mam owdowiałą matkę i młodsze siostry, które na mnie liczą. Co się z nimi stanie, jeśli mnie aresztują?

Powiedziałam więc przyjacielowi, że będzie musiał działać beze mnie. Jak grzeczna dziewczynka posłuchałam tego, co mówił Pepi Rosenfeld.